

DZIEŃ 5994

Budzę się.

Natychmiast muszę zorientować się, kim jestem. I nie chodzi tylko o ciało – otwarcie oczu, przekonanie się, czy skóra na rękach jest jasna czy ciemna, czy mam długie czy krótkie włosy, grubą czy chudą sylwetkę, jestem chłopakiem czy dziewczyną, mam ciało gładkie czy pokryte bliznami. Do ciała najłatwiej się przystosować, jeśli tylko jest się przyzwyczajonym do tego, że codziennie jest inne. Najtrudniej opanować życie, kontekst, w którym to ciało się znajduje.

Codziennie jestem kimś innym. Pozostaję sobą – wiem o tym – a jednocześnie jestem innym człowiekiem.

Zawsze tak było.



Wszystkie informacje już na mnie czekają. Budzę się, otwieram oczy, dociera do mnie, że jest nowy dzień i znajduję się w nowym miejscu. Klik, i wiem wszystko – to taki mały podarunek na dzień dobry od niezupełnie mojego umysłu. Dzisiaj mam na imię Justin. Nie wiedzieć czemu, zdaję sobie sprawę z tego, kim jestem, a jednocześnie dobrze wiem, że wcale nie jestem Justinem, tylko pożyczam sobie jeden dzień z jego życia. Rozglądam się. To jego pokój. Jego dom. Za siedem minut zadzwoni budzik.

Nigdy nie byłem dwa razy tą samą osobą, jednak zdarzało mi się wcielać w kogoś podobnego. Wszędzie rozrzucone ubrania. O wiele więcej gier komputerowych niż książek. Śpi w bokserkach. Niesmak

w ustach podpowiada mi, że sporo pali, ale nie jest aż tak uzależniony, by sięgać po papierosa natychmiast po obudzeniu się.

– Cześć, Justin – mówię. Sprawdzam brzmienie głosu.

Jest niski. W głowie zawsze wydaje się inny.

Justin nie dba o siebie. Swędzi go głowa. Powieki ciężą. Nie wyśpał się.

Już wiem, że to nie będzie dobry dzień.



Trudno jest przebywać w ciele osoby, której się nie lubi, ponieważ tak czy inaczej trzeba ją szanować. W przeszłości zniszczyłem życie wielu ludziom. Przekonałem się, że każde wspomnienie o tym długo mnie prześladowuje. Staram się więc zachowywać ostrożność.

Zorientowałem się, że zawsze zamieszkuję ciało rówieśnika. Nie przeskakuję z szesnastu lat na sześćdziesiąt. W tej chwili to zawsze jest szesnaście. Nie mam pojęcia, jak to działa – i dlaczego właśnie tak. Już dawno przestałem się nad tym zastanawiać. Nigdy do tego nie dojdę, tak samo jak zwykły człowiek nigdy nie rozpracuje sensu swojego istnienia. Po jakimś czasie trzeba po prostu pogodzić się z tym, że się jest. Nie wiadomo, dlaczego. Można snuć rozmaite teorie, ale i tak nie znajdzie się żadnych dowodów.

Mam dostęp do faktów, lecz nie do uczuć. Wiem, że to pokój Justina, jednak nie wiem, czy go lubi. Może ma ochotę zabić śpiących za ścianą rodziców? A może, gdyby nie mama, która przychodzi, by upewnić się, czy wstał, nie byłby w stanie funkcjonować? Nie mam pojęcia. Zupełnie jak gdyby moje prawdziwe „ja” zastępowała osobowość człowieka, którym staję się danego dnia. I chociaż cieszę się, że myślę nadal po swojemu, to jednak od czasu do czasu przydałaby mi się jakaś wskazówka co do przekonań tej drugiej osoby. Wszyscy nosimy w sobie tajemnice, co dobrze widać zwłaszcza od środka.

Dzwoni budzik. Sięgam po koszulę i spodnie, jednak coś mi mówi, że tę koszulę miał na sobie poprzedniego dnia. Wybieram

więc inną. Zanoszę ubrania do łazienki, biorę prysznic i ubieram się. Jego rodzice są teraz w kuchni. Nie mają pojęcia, że coś się zmieniło. Mam za sobą szesnaście lat praktyki. Zwykle nie popełniam błędów. Już nie.



Bez trudu rozszyfrowuję sytuację: zazwyczaj rano Justin niezbyt chętnie rozmawia z rodzicami, więc i ja nie muszę tego robić. Nauczyłem się wyczuwać oczekiwania innych – albo ich brak. Wpycham w siebie płatki, zostawiam brudną miseczkę w zlewie, chwytam kluczyki i wychodzę.

Wczoraj byłem dziewczyną w mieście oddalonym o jakieś dwie godziny drogi stąd. Przedwczoraj – chłopakiem mieszkającym trzy godziny drogi od niej. Już zaczynają mi się zamazywać szczegóły. Zapominam o nich, w przeciwnym razie nie mógłbym pamiętać, kim naprawdę jestem.

Justin słucha głośnej okropnej muzyki z głośnej okropnej stacji, na której głośny i okropny didżej przez cały poranek głośno i okropnie żartuje. Ta skromna wiedza o Justinie w zupełności mi wystarcza. Sięgam do jego pamięci, by znaleźć drogę do szkoły, miejsce, w którym zwykle parkuje, i należąca do niego szkolną szafkę. Szyfr do jej otwarcia. Imiona kumpli.

Czasami nie jestem w stanie zmusić się do tego wszystkiego: pójścia do szkoły, akrobacji, by przetrwać dzień. Mówię wtedy, że jestem chory, zostaję w łóżku i czytam książki. Ale po jakimś czasie staje się to dość męczące, a wtedy znów znajduję siły, by stanąć przed nowym wyzwaniem. Nową szkołą, nowymi przyjaciółmi. Na jeden dzień.

Wyciągam podręczniki z szafki Justina i czuję, że ktoś za mną stoi. Odwracam się i dostrzegam dziewczynę. Z jej twarzy można czytać jak z otwartej książki, wszystkie te emocje – ostrożność i nadzieja, zdenerwowanie i uwielbienie. Nie muszę uciekać się do wspomnień Justina, by wiedzieć, że to jego dziewczyna. Nikt inny nie reagowałby w ten sposób, nie czułby się tak niepewnie w jego

obecności. Jest ładna, choć nie zdaje sobie z tego sprawy. Ukrywa się za włosami, jest uszczęśliwiona moim widokiem, a jednocześnie nieszczęśliwa w mojej obecności.

Ma na imię Rhiannon. Przez chwilę – przez ułamek sekundy – myślę, że tak, to imię do niej pasuje. Nie wiem, dlaczego, nie znam jej przecież. Ale jest właściwe. Ponieważ to nie myśl Justina, tylko moja, więc staram się ją zignorować. To nie ze mną Rhiannon chce rozmawiać.

– Hej – mówię niedbałym tonem.

– Hej – szepcze w odpowiedzi.

Patrzy w dół, na swoje zamalowane konwersy. Narysowała na nich kontur miasta, znad podeszwy wychodzą zarysy wieżowców. Coś się zdarzyło między nią a Justinem, a ja nie wiem, co. Pewnie Justin nawet tego nie zauważył.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Na jej twarzy maluje się zaskoczenie, chociaż próbuje je ukryć. Justin nie zadaje zwykle takich pytań. A najdziwniejsze, że ja naprawdę chcę znać odpowiedź. Tym bardziej że jego wcale by ona nie obchodziła.

– Pewnie – odpowiada, chociaż w jej głosie nie ma pewności.

Trudno mi na nią patrzeć. Z doświadczenia wiem, że każda dziewczyna kryje w sobie jakąś prawdę. Ona swoją chowa, ale jednocześnie chciałaby, bym ją zobaczył. To znaczy, by zobaczył ją Justin. Jej prawda czai się pod powierzchnią, tuż poza moim zasięgiem. To dźwięk, który czeka, aż stanie się słowem.

Tak zatraciła się w swoim smutku, że nie ma pojęcia, jak bardzo jest widoczny. Chyba ją rozumiem – a przynajmniej przez chwilę tak mi się wydaje – ale potem zaskakuje mnie przelotnym przejawem determinacji. Odwagi nawet. Unosi wzrok, spogląda mi prosto w oczy i pyta:

– Jesteś na mnie zły?

Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego miałbym się na nią złościć. Jestem natomiast wściekły na Justina za to, że

przez niego ona czuje się taka bezwartościowa. Zdradza to mowa jej ciała: w jego obecności dosłownie się kurczy.

– Nie – odpowiadam. – Wcale nie jestem na ciebie zły.

Mówię jej to, co chciałaby usłyszeć, ale ona nie daje temu wiary. Karmię ją właściwymi słowami, jednak dziewczyna podejrzewa, że w każdym tkwi jakiś haczyk.

To nie mój problem. Jestem tu tylko na jeden dzień, nie mogę rozwiązywać czyichś kłopotów miłosnych. Nie powinienem zmieniać życia innych ludzi.

Odwracam się, wyciągam książki i zamykam szafkę. Dziewczyna stoi w tym samym miejscu, jakby głęboka i rozpaczliwa samotność płynąca z nieudanego związku nie pozwalała jej się ruszyć.

– Nadal masz ochotę na wspólny lunch? – pyta.

Jakże łatwo byłoby mi odmówić. Często tak robię: gdy czuję, że ktoś próbuje mnie wciągnąć do swojego życia, uciekam w przeciwnym kierunku.

Ona jednak ma coś w sobie – ten zarys miasta na trampkach, przebłysk odwagi, niepotrzebny smutek – coś, co sprawia, że chcę się przekonać, w jakie słowo przeobrazi się jej ukryta prawda. Przez długie lata spotykałem się z ludźmi, zupełnie ich nie znając, tym razem w obecności tej dziewczyny czuję delikatne pragnienie, by zacząć poznawać. Nie wiem, czy to chwila słabości, czy odwagi, ale postanawiam spełnić to pragnienie. Dowiedzieć się czegoś więcej.

– Oczywiście – odpowiadam. – Wielką ochotę...

I znów z łatwością odczytuję jej reakcję: wykazałem się zbyt wielkim entuzjazmem. Justin nigdy tego nie robi.

– Ale nie żeby mi jakoś bardzo zależało – dodaję.

Widzę w jej oczach ulgę. To znaczy tyle, ile jest skłonna pokazać, czyli raczej cień ostrożnej ulgi. Zaglądam do wspomnień Justina i wiem, że są razem od ponad roku. Mniej więcej, bo Justin nie pamięta dokładnej daty,

Dziewczyna chwytą mnie za rękę. Jestem zaskoczony, że to takie miłe.

– Cieszę się, że się na mnie nie gniewasz – mówi. – Chciałabym tylko, żeby wszystko grało.

Kiwam głową. Jednego się dotąd nauczyłem: każdy człowiek chce, żeby wszystko grało. Nie marzymy o niczym fantastycznym, cudownym ani wyjątkowym. Z radością godzimy się na to, że wszystko gra, bo tyle nam zwykle w zupełności wystarcza.

Dzwoni pierwszy dzwonek.

– Do zobaczenia później – żegnam się.

Taka niewielka obietnica. Jednak dla Rhiannon to najważniejsze słowa na świecie.



Początkowo trudno mi było przejść przez każdy dzień, nie nawiązując trwalszych relacji z ludźmi, nie pozostawiając za sobą zmian na całe życie. Gdy byłem młodszy, tęskniłem za przyjaźnią i bliskością. Przywiązywałem się, nie zdając sobie sprawy, jak szybko i bezwarunkowo to stracę. Brałem sobie do serca cudze życie, czułem, że przyjaciele osoby, której ciało zająłem, mogą być moimi przyjaciółmi, a ich rodzice – moimi rodzicami. Po jakimś czasie musiałem jednak zmienić strategię. Te wszystkie rozstania łamały mi serce.

Jestem tułaczem, i chociaż bywam samotny, to jestem też cudownie wolny. Nigdy nie będą mnie definiować inne osoby. Nigdy nie odczuję presji rówieśników ani ciężaru rodzicielskich oczekiwań. Postrzegam wszystkich jako elementy całości, skupiam się na tej całości, a nie na jej składowych. Nauczyłem się obserwować – o wiele uważniej niż większość ludzi. Nie oślepia mnie przeszłość, nie motywuje przyszłość. Skupiam się na tym, co tu i teraz, bo żyję wyłącznie w teraźniejszości.

Uczę się. Niekiedy poznaję coś, czego dowiedziałem się już w kilkunastu szkołach. Czasami uczą mnie czegoś zupełnie nowego. Muszę tylko odnaleźć się w obcym ciele, wejść w obcy umysł i przekonać się, jakie informacje się w nim znajdują. A wtedy się uczę. Gdy odchodzę, zabieram ze sobą jedynie wiedzę.

Wiem tyle rzeczy, o których Justin nie ma pojęcia – i nigdy nie będzie miał. Siedzę w jego ławce na lekcji matmy, otwieram jego zeszyt i zapisuję cytaty, których nigdy nie słyszał. Szekspira, Kerouaca i Dickinson. Jutro albo może nieco później – albo nigdy – zobaczy te słowa napisane swoim własnym pismem i nie będzie miał pojęcia, skąd się wzięły i co w ogóle znaczą.

Pozwalam sobie na zostawienie tylko takiego śladu.

Reszta musi pozostać bez zmian.



Rhiannon nie opuszcza mnie przez cały czas. Szczegóły, które jej dotyczą, przebłyski z pamięci Justina. Drobiazgi, sposób, w jaki opadają jej włosy, jak obgryza paznokcie, determinacja i zrezygnowanie w jej głosie. Zupełnie przypadkowe rzeczy. Widzę, jak tańczy z dziadkiem Justina, który wyznał, że chciałby zatańczyć z ładną dziewczyną. Widzę, jak zakrywa oczy, gdy ogląda horror, jak napawa się swoim strachem. To są pozytywne wspomnienia. Na inne nie patrzę.

Rano widzę ją tylko raz – krótkie spotkanie na korytarzu między pierwszą a drugą lekcją. Uśmiecham się na jej widok, ona odpowiada tym samym. Jakież to proste. Proste, a jednocześnie skomplikowane, jak większość prawdziwych spraw. Po drugiej lekcji łąpię się na tym, że jej szukam; to samo robię po trzeciej i czwartej. Zupełnie nad tym nie panuję. Chcę ją tylko zobaczyć. To proste. I skomplikowane.

Przed lunchem jestem już wyczerpany. Ciało Justina jest potwornie zmęczone z braku snu, a ja – tkwiący wewnątrz – czuję się wykończony niepokojem i zbyt intensywnym myśleniem.

Czekam na nią przy szafce Justina. Dzwoni pierwszy dzwonek. Potem drugi. Rhiannon się nie pojawia. Może miałem się z nią spotkać gdzie indziej? Może Justin zapomniał, gdzie się zwykle spotykają?

W takim razie jest przyzwyczajona do jego zapominalskości. Znajduje mnie dokładnie w tej samej chwili, w której mam dać za

wygraną. Korytarze są niemal puste, całe głodne stado już się przetoczyło. Tym razem podchodzi bliżej niż poprzednio.

– Hej – mówię.

– Hej – odpowiada dziewczyna.

Patrzy na mnie wyczekująco. To Justin zawsze robi pierwszy ruch. To on o wszystkim decyduje.

Bardzo mnie to przygnębia.

Tyle razy to widziałem. Nieuzasadnione uwielbienie. Znoszenie strachu w związku z niewłaściwą osobą tylko dlatego, że nie można znieść myśli o samotności. Ta nadzieja zabarwiona nutą wątpliwości, ta wątpliwość, pod którą czai się nadzieja. Za każdym razem, gdy widzę te uczucia na czyjejś twarzy, jestem zdołowany. A na twarzy Rhiannon maluje się coś więcej niż tylko wszystkie rozczarowania. Jest w niej łagodność, której Justin nigdy, przenigdy, nie doceni. Ja ją widzę od razu, chociaż nikt inny jej nie dostrzega.

Wkładam wszystkie podręczniki do szafki i zamykam ją. Podchodzę do dziewczyny, kładę rękę na jej ramieniu.

Właściwie nie wiem, co robię. Wiem tylko, że to robię.

– Chodźmy gdzieś – mówię. – Dokąd chciałabyś pójść?

Stoję tak blisko, że mogę obserwować jej niebieskie oczy. I wiem, że nikt inny nie zbliża się do niej, by zobaczyć, jak bardzo są niebieskie.

– Nie wiem – odpowiada.

Chwytam ją za rękę.

– Chodź.

Początkowo idziemy, trzymając się za ręce. A potem zaczynamy biec. Pędzimy, starając się dotrzymywać sobie kroku, kluczymy szkolnymi korytarzami, a wszystko, co nie jest nami, staje się zamazaną, nic nieznaczącą plamą. Śmiejemy się, chichoczymy, jest nam wesoło. Zostawiamy jej książki w szafce i wychodzimy z budynku na dwór. Na prawdziwe powietrze, na słońce, drzewa i mniej uciążliwy świat. Opuszczając szkołę, łamię zasady. Wsiadając do samochodu Justina, łamię zasady. Łamię je także wtedy, gdy przekręcam kluczyk w stacyjce.

– Dokąd chciałabyś jechać? – pytam znowu. – Powiedz mi, ale tak naprawdę, na co masz ochotę.

Początkowo nie zdaję sobie sprawy, jak wiele zależy od tego, co ona mi odpowie. Jeśli zaproponuje: „Zabierz mnie do centrum handlowego”, odsunę się. Jeżeli powie: „Jedźmy do ciebie”, też się odsunę. Zrobię to także, gdy oznajmi: „Nie chcę opuszczać szóstej lekcji”. Odsunę się. Powinienem się odsunąć. Nie powinienem tego robić.

– Chcę jechać nad ocean. Zabierz mnie nad ocean – mówi.

Czuję, że się przysuwam.



Dojazd zabiera nam godzinę. Jest koniec września, liście w Maryland nie zaczęły jeszcze zmieniać barwy, ale widać, że już o tym myślą. Zieleń jest przytłumiona, wyblakła. Kolory czają się za rogiem.

Przekazuję Rhiannon kontrolę nad odbiornikiem. Jest zaskoczona, lecz nie zwracam na to uwagi. Mam dosyć głośnej okropnej muzyki, wyczuwam, że ona również. W samochodzie rozlega się wreszcie melodia. Rozbrzmiewa piosenka, którą znam, więc zaczynam śpiewać.

And if I only could, I'd make a deal with God...*

Zaskoczenie Rhiannon przeradza się w podejrliwość. Justin nigdy nie śpiewa.

– Co ci się stało? – pyta.

– To muzyka – odpowiadam.

– Hm.

– Naprawdę.

Wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę, a potem się uśmiecha.

– W takim razie... – zaczyna i rusza pokrętle, znajdując inny utwór.

* Kate Bush, *Running Up That Hill*. W luźnym tłumaczeniu: „Gdybym tylko mogła, zawarłabym pakt z Bogiem...” [przyp. tłum.].

Wkrótce śpiewamy ile sił w płucach. To piosenka pop, niesie w sobie mniej więcej tyle samo treści co balon, ale unosi nas tak jak on.

Mam wrażenie, że czas zwolnił i jakby się rozrzedził. Rhiannon przestaje myśleć o tym, jakie to wszystko niecodzienne, i poddaje się chwili. Chcę podarować jej dobry dzień, po prostu jeden dobry dzień. Przez tyle czasu tułałem się bez celu i nagle pojawił się przede mną ten ulotny sens – mam wrażenie, że ktoś mi go sprezentował. Skoro mogę dać od siebie tylko jeden dzień, dlaczego nie może być on dobry? Dlaczego nie mogę spędzić go z drugim człowiekiem? Dlaczego nie mogę zabrać ze sobą melodii chwili i przekonać się, jak długo będzie trwała? Zasady można znieść. Mogę coś przyjąć. Mogę coś podarować.

Kiedy piosenka dobiega końca, Rhiannon opuszcza szybę i przesuwa rękę przez powietrze, wpuszczając do środka zupełnie nowy rodzaj muzyki. Opuszczam pozostałe szyby i przyspieszam. Wiatr przejmuje kontrolę, rozwiewa nam włosy, można mieć wrażenie, że samochód zniknął, to my jesteśmy prędkością, to my jesteśmy pędem. Rozbrzmiewa kolejny dobry kawałek, a ja chwytam ją za rękę. Jedziemy tak wiele kilometrów, podczas których wypytuję ją o różne rzeczy. Na przykład, jak się miewają jej rodzice. I jak jest teraz, kiedy jej siostra poszła na studia. I czy uważa, że w tym roku zrobiło się inaczej w szkole.

Odpowiedzi przychodzą jej z trudnością. Każdą zaczyna tym samym: „nie wiem”. W większości wypadków jednak wie, potrzeba jej tylko czasu i przestrzeni. Mama chce dla niej dobrze, tata nie do końca. Siostra nie dzwoni, ale to zrozumiałe. Szkoła jak szkoła – Rhiannon chciałaby, żeby się już skończyła, lecz jednocześnie boi się końca, bo wtedy będzie musiała postanowić, co dalej.

Pyta mnie, co ja o tym sądzę.

– Szczerze mówiąc, staram się żyć z dnia na dzień – odpowiadam.

To niewystarczająca odpowiedź, ale zawsze jakaś odpowiedź. Przyglądamy się drzewom, niebu, znakom, drodze. Czujemy swoją

obecność. W tej chwili świat składa się tylko z nas dwojga. Nadal śpiewamy, z taką samą beztroską, nie przejmując się, czy trafiamy we właściwe dźwięki i właściwe słowa. Śpiewając, patrzymy na siebie: to nie są dwa solowe wystąpienia, to duet, który nie bierze siebie zbyt serio. To rodzaj rozmowy – można się wiele dowiedzieć o ludziach z historii, które opowiadają, jednak lepiej poznaje się ich ze sposobu, w jaki z tobą śpiewają, czy lubią spuszczone czy podniesione szyby, czy w życiu kierują się mapą czy światem, czy przyciąga ich ocean.

Mówi mi, gdzie mam zjechać z autostrady. Puste boczne drogi. To nie lato i nie weekend. Jest środek poniedziałku, więc tylko my zmierzamy w tej chwili w stronę plaży.

– Powinnam być teraz na angielskim – odzywa się.

– Powinienem być teraz na biologii – odpowiadam, zaglądając do planu znajdującego się w głowie Justina.

Jedziemy dalej. Gdy ją zobaczyłem, sprawiała wrażenie, jakby z trudem utrzymywała równowagę na krawędziach i wypustkach. Teraz stoi na równiejszym, przyjaźniejszym podłożu.

Wiem, że to niebezpieczne. Justin nie jest dla niej dobry. Gdy wejść do złych wspomnień, widzę łzy, awantury, szczątki znośnych spędzonych razem chwil. Ona jest zawsze przy nim, z pewnością mu się to podoba. Lubią ją jego kumple (to też zapewne mu się podoba). Jednak to nie to samo co miłość. Rhiannon od dawna żyje nadzieją związaną z Justinem i nie zdaje sobie sprawy, iż nie ma już żadnych podstaw do nadziei. Nie ma między nimi ciszy, jest wieczny hałas. Głównie z jego strony. Gdybym się postarał, mógłbym dostać się głębiej do sedna ich kłótni. Mógłbym znaleźć wszystkie okruchy, które zbierał za każdym razem, gdy ją niszczył. Gdybym był prawdziwym Justinem, także w tej chwili mógłbym się do czegoś przycepić. Powiedzieć jej o tym. Wrzasnąć. Pokazać, gdzie jej miejsce.

Ale nie mogę, nie jestem nim. Nawet jeśli ona tego nie wie.

– Po prostu dobrze się bawmy – mówię.

– Okej – odpowiada. – To mi się podoba. Tak często myślę o ucieczce, że fajnie jest w końcu naprawdę uciec. Chociaż na jeden

dzień. Miło jest znaleźć się po drugiej stronie okna. Chyba za rzadko to robię.

Jest w niej tyle różnych rzeczy, które chciałbym poznać. A jednocześnie, z każdym wypowiedzianym słowem czuję, że być może jest w niej coś, co już znam. I kiedy się tam dostanę, rozpoznamy się.

Parkuję samochód i ruszamy w stronę oceanu. Zdejmujemy buty, zostawiamy je pod siedzeniami. Kiedy docieramy do piasku, pochylam się, żeby podwinąć nogawki dżinsów, a wtedy Rhiannon biegnie przed siebie. Gdy podnoszę głowę, ona wiruje na plaży, wzbija w górę tumany piasku i woła mnie po imieniu. W takiej chwili wszystko jest lekkością. Wydaje się taka radosna, że aż przystaję i zaczynam się jej przyglądać. Obserwuję. Każę sobie zapamiętać.

– Chodź tutaj! – woła. – No chodź!

Mam ochotę jej powiedzieć, że nie jestem tym, za kogo mnie uważa. Jednakże to wykluczone. Absolutnie wykluczone.

Mamy plażę dla siebie, ocean także. Mam ją dla siebie – a ona ma mnie.

Dzieciństwo jest po części dziecinne, a po części święte. Nagle okazuje się, że dotykamy tej świętości – biegniemy ku morzu, czujemy pierwszą lodowatą falę omywającą nam kostki, wyciągamy ręce, by złapać muszle, zanim ocean wymyje je nam spomiędzy palców. Wróciliśmy do świata, który potrafi błyszczeć, wchodzimy w niego coraz głębiej. Rozpościeramy ramiona, jakbyśmy chcieli przytulić do siebie wiatr. Rhiannon ochlapuje mnie zdradziecko, więc przeprowadzam kontratak. Mam mokre spodnie i koszule, ale zupełnie się tym nie przejmujemy.

Prosi mnie o pomoc w budowaniu zamku z piasku, a kiedy jej pomagam, opowiada mi, że nigdy nie lepiła zamków razem z siostrą – zawsze to była zacięta rywalizacja, przy czym siostra wznosiła jak najwyższe budowle, a Rhiannon przykładała wagę do szczegółów, pragnąc, by każdy zamek przypominał domek dla lalek, którego nigdy nie miała. Widzę echo tamtych detali, kiedy pod jej dłońmi zakwitają wysokie wieżyczki. Nie mam chyba żadnych wspomnień

dotyczących zamków z piasku, ale najwyraźniej coś się znajduje w mojej podświadomości, bo wiem, jak trzeba je lepić i formować.

Kiedy zamek jest gotowy, wracamy do wody, żeby opłukać ręce. Odwracam się i widzę, jak nasze ślady łączą się ze sobą, tworząc jedną ścieżkę.

– Co tam jest? – pyta dziewczyna. Widzi, jak się odwracam, dostrzega coś w mojej twarzy.

Jak mam jej to wyjaśnić? Znam tylko jeden sposób:

– Dziękuję.

Patrzy na mnie, jakby nigdy jeszcze nie słyszała takich słów.

– Za co?

– Za to. Za to wszystko.

Ucieczkę. Wodę. Fale. Mam wrażenie, że znaleźliśmy się poza czasem, chociaż takie miejsce nie istnieje. W głębi duszy ona nadal czeka na jakiś zwrot, na moment, w którym cała ta przyjemność wbije się w nią boleśnie jak ostrze noża.

– Nie ma w tym nic złego – tłumaczę jej. – Nie ma nic złego w byciu szczęśliwym.

Łzy napływają jej do oczu, więc chwytam ją w ramiona. To takie niewłaściwe – a jednocześnie słuszne i prawidłowe. Muszę słuchać własnych słów. Szczęście tak rzadko pojawia się w tym, co mówię, bo dla mnie to niezwykle ulotna sprawa.

– Jestem szczęśliwa – odpowiada. – Naprawdę.

Justin by ją teraz wyśmiał. Popchnąłby ją na piasek i zrobił to, na co miałby ochotę. A przede wszystkim – Justin nigdy by tu nie przyjechał.

Jestem zmęczony nieodczuwaniem. Zmęczony nienawiązywaniem więzi. Chcę tu być razem z nią, chcę być chłopakiem, który spełnia jej nadzieje, choćby tylko w tym krótkim czasie, jaki jest mi dany.

Ocean ofiaruje nam swoją muzykę, wiatr daje nam swój taniec. A my trzymamy się. Początkowo można mieć wrażenie, że siebie nawzajem, ale potem jest tak, jakbyśmy trzymali się czegoś znacznie większego. O wiele większego.

– Co się dzieje? – chce wiedzieć Rhiannon.

– Ciii – odpowiadam. – Nie pytaj.

Całuję mnie. Nie całowałem się z nikim od lat. Nie pozwoliłem sobie na to. Usta ma miękkie jak płatki kwiatów, ale kryje się w nich namiętność. Nie spieszę się, pozwalam, by każda chwila przechodziła płynnie w następną. Czuję jej skórę, jej oddech. Smakuję parę, która unosi się między nami, napawam się jej ciepłem. Ona ma zamknięte oczy, lecz moje są otwarte. Chcę zapamiętać ten moment jako coś więcej niż tylko pojedyncze doznanie. Chcę zapamiętać całość.

Całujemy się, nic więcej. Całujemy się, nic mniej. Chwilami ona próbuje pójść dalej, ale ja tego nie potrzebuję. Przesuwam palcami po jej ramionach, ona muska moje plecy. Całuję ją w szyję. Ona całuje mnie pod uchem. Za każdym razem, gdy przerywamy, uśmiechamy się do siebie. Oszałamiające niedowierzanie, oszałamiająca wiara. Ona powinna być teraz na angielskim, ja powinienem siedzieć na biologii. Nie powinniśmy nawet zbliżyć się do oceanu. Przeciwwstawiliśmy się temu, co szykował dla nas dzisiejszy dzień.

Idziemy wzdłuż plaży, trzymając się za ręce, a słońce obniża się ku horyzontowi. Nie myślę o przeszłości, nie zastanawiam się nad przyszłością. Jestem tak wdzięczny słońcu, wodzie, temu, jak moje stopy zapadają się w piasek, a moja ręka trzyma jej dłoń.

– Powinniśmy to robić co poniedziałek – mówi Rhiannon. – A także co wtorek, środę, czwartek i piątek.

– Znudziłoby nam się – odpowiadam. – Najlepiej więc przeżyć to tylko raz.

– I już nigdy więcej? – Widzę, że jej się to nie podoba.

– Nigdy nie mów nigdy.

– Nigdy nie mówię.

Na plaży jest teraz trochę ludzi – głównie starszych, którzy wybrali się na popołudniowy spacer. Kiwają nam głowami, gdy ich mijamy, niekiedy mówią „dzień dobry”. My też im kiwamy, też się z nimi witamy. Nikt nie pyta, co tu robimy. Nikt o nic nie pyta. Jesteśmy tylko częścią chwili, jak wszystko dookoła.